

Żadnych granic

Przełożył Daniel Warmuz

Jakby od poniedziałku do niedzieli i od rana do wieczora, choć głównie w nocy, trwał jakiś żywiołowy festiwal muzyczny, ale uczestnicy tak naprawdę celebrowali swoje własne piękno. *Herzlich willkommen in Ljubljana. Bienvenue.* Dzieje się tak każdego lata, jakby młoda Europa spotykała tu wszystkich młodych palaczy trawki ze starego kontynentu. Teraz mamy zimę. Przyjeżdżamy autem. Nie wiemy, gdzie jest Zaloška cesta i po kilku minutach znów lądujemy za miastem. Później ją odnajdujemy, ale szukamy Rozmanovej. Jesteśmy spóźnieni, musimy jak najprędzej dotrzeć do hotelu. Szybko nastaje zmrok, na niebie widać jeszcze delikatną, czerwoną lunę. Chodnikiem po drugiej stronie ulicy, obok kunsztownego ogrodzenia starego parku i budynku z czasów monarchii, idzie gestykulujące wesoło młode towarzystwo, dwie kobiety o atletycznej budowie ciała, trzech wysokich i smukłych mężczyzn ze światłem zmierzchu na twarzach. Z całą pewnością koleżanki i koledzy, przypuszczalnie jest wśród nich jedna para. Wracają z uczelni albo z jakiejś kliniki, gdzie pracują jako asystenci lub adiunkci, a może z międzynarodowej konferencji czy choćby z treningu. Zwalniamy i zatrzymujemy się po przeciwnej stronie, mój wydawca opuszcza szybę i wita się z nimi. Są zajęci rozmową, gestykulując, śmieją się. Raz jeszcze ich pozdrawia, bo pomylił języki, zamiast po słoweńsku zwrócił się do nich po chorwacku. W równomiernym miejskim zgietku pierwsza zwraca nań uwagę jedna z kobiet. Od niechcenia spogląda w naszym kierunku. Wydawca raz jeszcze się poprawia. Młoda kobieta z lekceważeniem patrzy, skąd dobiega głos, jakby wyrywano ją z ulubionego zajęcia i musiała wrócić do nieznośnej rzeczywistości. Wydawca znów miesza języki, ponownie pyta się po chorwacku, a po chwili mówi po słoweńsku. Wraz z młodą kobietą w naszym kierunku zwraca się młody mężczyzna. Zupełnie jakby zawsze we właściwym momencie wkraczali po sobie do akcji. Podwójnie poprawiona produkcja językowa jest dla obydwojga w jakimś stopniu zaskoczeniem. Przymus spełnienia obowiązku zatrzymuje ich, ale tylko na chwilę.

Gesty oraz mimika kobiety i mężczyzny pozwalają podzielić następną, jeszcze krótszą jednostkę czasu na cztery wyraźne części. Czegoś nie rozumiemy. Coś rozumiemy. Mężczyzna z obojętnym wyrazem twarzy odwraca się i śmieje z innymi, dając równocześnie znak kobiecie. Ta zamaszystym ruchem pokazuje zaciśniętą w pięść dłoń i wystawia palec. Twarz o mocnych rysach zostaje wykrzywiona przez historyczną nienawiść. Żeby uniknąć nieporozumienia, z drugiej strony ulicy krzyczy po słoweńsku: „pierdolona wasza mać!”.

Następnego dnia robię eksperyment i opowiadam wszystkim o zajęciu. Moja prowokacja nie pozostaje bez oddźwięku. Nikt niczego nie neguje, raczej z zamyślnym

wyrazem twarzy słuchają historii, zastanawiają się, aha. Ktoś dzieli się swoim zaskoczeniem związanym z upływem czasu. Siedemnaście lat to długi czas także dla języka. Nawet pan nie zauważył, odkąd serbsko-chorwacki nie działa jako język pośredniczący. Tak mówi, między nami. Od jakiegoś czasu, jeśli spotykają się na konferencji naukowej, rozmawiają ze sobą po angielsku. Ktoś inny pyta, czy towarzystwo widziało na naszym aucie węgierską rejestrację. To prawie wykluczone. Młody, lecz już bardzo znany poeta, który ubiegłego lata obszedł pieszo dookoła Słowenii i spalony na brąz, z zarzuconą na plecy torbą, odwiedził nas w Gomboszeg, spogląda na mnie szeroko otwartymi, łagodnymi oczami. Ale nic nie mówi. Do tej pory wiedziałem, tłumaczyłem, że w Słowenii nie ma czegoś takiego. Ale Péter, odpowiada cicho, my też żyjemy tu na kościach.

Lublana zimą jest cicha, zdyscyplinowana, każdy jej kąt jest czysty, zadbane i urządzony w przemyślany sposób. Któregoś wieczoru zabierają mnie na południe, do Ribnicy. Jedziemy z moją nową książką, w której opisuję doświadczenie śmierci klinicznej¹. W każdym kącie zadbanego i zdyscyplinowanego miasteczka obecny jest przemysł, pewien duży przedsiębiorca finansuje centrum kulturalne z muzeum historycznym i galerią sztuki współczesnej. Na ulicy nie ma o tej godzinie żywej duszy, świecą neonowe napisy, jest kilka podświetlonych fasad barokowych domów i trochę sztyldów stylizowanych na dawne. Plac przed muzeum jest podejrzanie pusty. Za to sala pęka w szwach. Ludzie siedzą w niecodziennym milczeniu. Nie jesteśmy spóźnieni, ale musimy poczekać, aż miejscowa telewizja i radio przeprowadzą ze mną wywiad. Z czystej uprzejmości próbuję dokonać zmiany w harmonogramie, mianowicie proponuję, żeby wywiad był na końcu. Upierają się, by zrobić go teraz.

Stoimy na pustym korytarzu, gdzie rośli, mocno przejęty młody mężczyzna podstawia mi niebieski mikrofon, przede mną na statywie stoi kamera, podczas gdy starszy mężczyzna w czerwonej koszulce nieco z oddali trzyma mi przed ustami czerwony mikrofon radiowy. Pierwsze pytanie zadaje postawny mężczyzna, interesuje go, czemu całą książkę napisałem o śmierci. Bo umarłem, odpowiadam lekko. Młodzieniec rzuca na mnie wołające o pomoc spojrzenie, jego całe ciało zastyga z przerażenia w bezruchu, a niebieski mikrofon zaczyna się cofać. W tym czasie z boku czerwona koszulka i czerwony mikrofon również oddalają się szybko. Starszy mężczyzna ma jednak na tyle profesjonalnej samodyscypliny, że ostrożnie usuwa z kadru czerwony mikrofon. Później odskakuje tak, jakby strzelił w niego piorun. Z kolei młokos, jękając się, pyta, co przez to rozumiem. Mam na myśli to, odpowiadam niewzruszenie, że miałem zawał serca, od czego zapadłem w stan śmierci klinicznej, i gdy to mówię, czerwony mikrofon wraca pod mój nos. Byłem reanimowany, to jest przywrócono mi akcję serca. W tej chwili operator również zmienia swoje położenie i przestraszony wychodzi zza kamery. Z kolei dwóch pozostałych zaczyna mówić równocześnie, nie rozumiem, co to znaczy, słów też nie znają, pytają.

¹ Fragment książki *Własna śmierć* w przekładzie Joanny Nowostawskiej-Gyalókey ukazał się w „Autoportrecie” 2008, nr 3 (przyp. tłumacza).

Tłumaczę, co znaczy reanimacja, ale czuję w powietrzu, czuję na własnej skórze, widzę po ich twarzach, że nic im to nie mówi i w rzeczywistości widzą we mnie postać z horroru, zombie. Nie pozwolą przemówić sobie do rozsądku. Trafili do horroru, z którego muszą uciekać. Mężczyzna z czerwonym mikrofonem odchodzi z magnetofonem na ramieniu na koniec korytarza, gdzie uzmysławia sobie, że wyjścia należy szukać po przeciwnej stronie. Mówi, że tyle go zadowoli, że zebrał o mnie wystarczający materiał. Młokos chwyta się tego zdania jak koła ratunkowego. Krzyczy, że też nie ma więcej pytań. Boi się, że mój zakończony hakiem język urośnie, złapie go za szyję, po czym pożre go w całości. Ja zaś, ta menda, w dalszym ciągu chętnie objaśniam, żeby rozumiał. W tym czasie starszy mężczyzna obchodzi bokiem statyw z kamerą i znika.

Bukareszt pokrywa gruba warstwa śniegu. Nigdzie nie odśnieżają. Ani chodników, ani jezdni, ani też marmurowych schodów. Centrum miasta jest rozkopane, wyrwcone do góry nogami, jego wnętrzności leżą na wierzchu, a pierzyny ze śniegu okrywają hałdy ziemi. Wszyscy chodzą po swoich śladach, każdy robi wgłębienie po swojej nodze. Albo czterema kołami, ze sztuką właściwą kierowcom. Na mniej uczęszczanych ulicach wpadasz w wyżłobione i wydeptane do czerni dziury. Trzeba iść w szeregu, podnosić jedną nogę i stawiać ją przed drugą. Dziś idą przed tobą, wiecznie gęsiego, i tak samo pójdą za tobą jutro. Orzecha nie trzeba strącać z drzewa, sam spadnie, śniegu nie trzeba sprzątać, stopnieje, cytują zabawną mądrość ludową, kiedy pytam współtowarzyszy w biedzie, co się stało i dlaczego nie. Na ruchliwych alejach to nie możemy ruszyć, to nie możemy się zatrzymać, żeglujemy po lodowym morzu wśród świętecznie oszronionych drzew. Te dobroczynnie zastępują lichą ozdobę, którą wdzięcznemu ludowi zbudował zamordowany dyktator.

W tych dniach nie topnieje. Przez wielkomiejski smog przezierną jednak pewna ilość promieni słonecznych. W powietrzu rośnie zawartość pary, a noc w postaci szronu osiada na drzewach. Zanim znów się ściemni, jezdnie pokryje lodowy pancerz. Stiukowe kamienice z końca dziewiętnastego wieku czarnymi, powybijanymi oknami patrzą na opustoszałe ulice, witryny sklepów zabito deskami lub zamurowano. Bloki na przedmieściach są jak przeludnione gołębniki. Na ich dachach, wokół skleconych domków dla ptaków rzeczywiście kręci się sporo gołębi. W śmiałym szyku wlatują do nieba, a potem wracają. Pomiędzy zastawionymi szafkami, zabudowanymi, czasem zabitymi deskami balkonami sztywnieje zamrożone w kiściach pranie. Pod nim czarny, niemy, owinięty w płaszcz tłum ślizga się i kołysze. Ludzie poruszają się po śladach innych w głęboko wydeptanej ścieżce lub w ściśniętej, ciemnej gromadzie czekają na autobus. Nad ich głowami wisi żółtawoszare niebo, wypełnione kablami i przewodami o nieznanym przeznaczeniu. Ciągące się wzdłuż ulicy słupy niemal się chylą, uginają od masy wiązań i połączeń. Na skraj szerszych dróg na przedmieściach i głównie w okolicy większych parkingów, samotnie lub w grupie, sterczą wychudzone psy, ich spojrzenie jest apatyczne, nie ma w nim żadnej nadziei.

Na zewnątrz jest minus piętnaście stopni, w hotelowym pokoju plus trzydzieści pięć, w łazience czterdzieści. W nocy zerwałem się na myśl, że oszaleję, zginę, ale ostrożniej można by powiedzieć, że nie potrafiłem zasnąć w przepoconej pościeli. Okna nie dało się uchylić. Otworzyć na oścież lub zamknąć, innej możliwości ta technika nie dopuszczała. No dobrze, to może czymś podeprzeć. Gdyby chociaż był parapet, na którym położyłbym to coś. Już przed południem po moim przyjeździe przystali kogoś z recepcji, kto tylko udawał, że coś robi. Dowiedziałem się przy okazji, że w pokoju działa nie tylko kaloryfer, lecz także ogrzewanie podłogowe. Ten ktoś poinformował mnie również, jak działa klimatyzator. Na początku nie rozumiałem, po co zimą miałbym uczyć się obsługi klimatyzacji. Dopiero w nocy zrozpaczony wpadłem na pomysł, żeby ustawić ją na trójkę. Całe szczęście, że nie straciłem do reszty zdrowego rozsądku. Przypadkiem, bo przypadkiem, odkryłem, jak można wyłączyć przeklęty kaloryfer. Już mówię, jak do tego doszedłem. Deska klozetowa nie była przymocowana do muszli, bo była ułamana, gdy odpadła, strąciła coś z dolnej części kaloryfera, czego wcześniej nie zauważyłem. Mała biała zakrętka w zupełnie zaskakującym miejscu, która do tej pory zakrywała zawór.

Kiedy udało mi się w jakimś stopniu schłodzić pokój i wreszcie usnąłem usatysfakcjonowany, śniłem, że jestem w obłąconym, porzuconym przez mieszkańców mieście. Niezupełnie sam, ale tych niewielu, co pozostało, jest mi zupełnie obcych. Po ostatnim ataku bombowym najwidoczniej nie pozostał nikt, kto mógłby wyłączyć syreny. Co jasne, nie został żaden znawca, rozsądni specjaliści zginęli albo się ewakuowali. Podczas gdy wśród spalonych domów z trudem szukałem drogi w ruinach, syreny wyły ciągłym i modulowanym dźwiękiem. Tak jak alarm wojskowy rozbrzmiewa pod posępnym niebem. Ale nigdzie żadnego oparcia, ruiny i ruiny, żadnego znajomego, ani jednego punktu orientacyjnego.

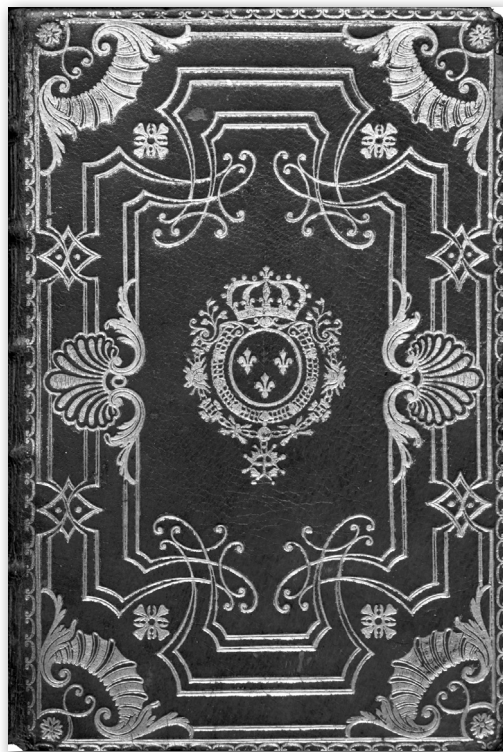
Zbudziłem się na myśl, że to nie sen, w hotelu na korytarzu miarowo wyla syrena, po trzech ciągłych sygnałach krótka przerwa.

Nie byłbym w stanie powiedzieć, co i jak, ale wiedziałem swoje. Nawet nie było po co wstawać. Wiedziałem, że nie warto, w hotelu nie było pożaru. Dwadzieścia minut po trzeciej nad ranem czekałem w łóżku, aż ustanie wycie syreny. Nie ustało. Jakiś czas mnie to bawiło. Zapach dymu nie rozchodził się w powietrzu. Za to na korytarzach rozbrzmiewało coraz więcej męskich i żeńskich głosów. Zarzuciłem na siebie ubranie. W uchylonych drzwiach mężczyźni i kobiety w nocnych koszulkach, podkoszulkach, pizamach, w przeróżnych językach. Głównie po angielsku. Obrazek był doprawdy pocieszny i pouczający. W jakiej niemożliwej garderobie śpią ci ludzie i jak bardzo zburzone są ich włosy. Tylnymi schodami zbiegłem z drugiego piętra do recepcji. Syrena nie oszczędziła również wyłożonego białym marmurem holu, a między pustymi ścianami wycie odbijało się echem. Ale to nie wszystko. Potężny ekran na ścianie wybuchał, grzmiał i huczał od jakiejś niekończącej się sceny bitewnej.

Pod monitorem, na czarnym skórzanym fotelu, ze słodko otwartymi ustami i w embriionalnej pozycji spał nocny portier. Drugi, ogolony do łysa, o bardziej nieokrzesanym

wyglądzie i przerośniętym karku olbrzym drzemał nieco dalej w zacienionej głębi fo-
-yer, oparty wyciągniętymi ramionami o pustą ladę baru. Przecudny widok. Wbrew temu
obudziłem stróża. W tym niewiarygodnym hałasie musiałem aż dwa razy przemówić
do niego. Ledwo co podniósł zaspaną, miłą twarz otoczoną czarnymi lokami, na po-
czekaniu skłamał, że to wszystko przez gości. Natychmiast mu uwierzyłem. Mimo zaka-
zu palą w pokojach papierosy i automatycznie uruchamia się alarm przeciwpożarowy.
Czemu miałbym mu nie wierzyć, że czujniki dymu są takie wrażliwe. Zaproponowa-
łem, żeby w takim razie ręcznie wyłączył alarm. Oczywiście było to niemożliwe. W trak-
cie przyszli inni goście, oburzeni, rozczochrani, w wybrakowanym odzieniu, niewielu,
iluş obcokrajowców. Złęknioty tym uroczy portier zbudził ochroniarza. Ponad godzinę
pracowali skuleni przy skrzynce z bezpiecznikami. Czasem zdawało się, że już po wszyst-
kim i nastawała nagła cisza. Niesamowita cisza, po której znów odzywał się alarm,
po trzech krótkich sygnałach przerwa i znów bezskuteczna próba wyłączenia.

Cisza nastałaby o wpół do piątej, gdyby ktoś w budynku nie uruchomił czegoś inne-
go. Ciągłące się w nieskończoność bałkańskie muzykowanie, przepojona radością życia
pieśń rozchodziła się po korytarzu.



Oprawa autorstwa Pierre-Paula Dubuissona z herbem królewskim Ludwika XV, 1750; zbiory
Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner



Superekslibris nieokreślonego szlachcica francuskiego, 1773; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner

Superekslibris Karola Krystiana, syna Augusta III Wettyna, 2 połowa XVIII w.; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner

